

Kronika tygodniowa.

Z pewną ulgą biorę dziś pióro do ręki. Dobiegliśmy szczęśliwie środka Wielkiego Postu i doczekaliśmy się nareście wiosny, na razie bodaj kalendarzowej. Śniegu jeszcze dość, czekającego na stopnienie pod wpływem ciepłych promieni słonecznych, mrozy nie robią sobie nic z braku węgla i nie pozwalają nam zapomnieć, że zima dopiero co skończyła swe panowanie i może jeszcze powrócić i dać się nam we znaki. Na marzec przypada co roku koci karnawał, który w tym roku nie udał się zupełnie. Po inne lata bywało w tym czasie i ciepłej i pogodniej, sympatyczne nasze Maciusie i Mruczusie mogły więc z całą swobodą oddawać się miłosnym praktykom. Ruch też panował nocami na dachach, w powietrzu rozlegały się miłe głosy zakochanych kotów i kotek.

Jedna z przyjaciółek kocięgo rodu zwróciła moją uwagę na okoliczność, iż ulubieńców jej widać w Krakowie coraz mniej. Ubytek ten, wedle jej zdania, ma stać w pewnym związku ze sprawą aprowizacji miasta, zwłaszcza, o ile to dotyczy sfer najuboższych. W kuchniach restauracyjnych obecnie także trudno spotkać kota, pojawiają się z zasady dopiero w okresie polowań na zajace.

O ile więc koci karnawał nie dopisał (a cóż one lepszego od nas?... Czy kto z nas hawil się w karnawale?... przyp. zecera), o tyle też nie można liczyć na zbytne rozmnożenie się kotków, na czem najlepiej wyjdą myszy, nie robiące sobie nic z Wielkiego Postu, zwłaszcza w domach, gdzie nagromadzono sporo „wojennych” zapasów. A za takie lekceważenie sobie przepisów, obowiązujących nawet i ludzi, powinna je spotkać zasłużona kara. Ale gadaj tu kotowi o myszy, gdy on ma w głowie teraz karnawał i politykę.

Ludzki karnawał, rzecz prosta, nie udał się wcale, co odbiło się bardzo ujemnie na liczbie zawartych małżeństw. Narzekają z tego powodu zwłaszcza starsze panienki, czekające już od dłuższego czasu na królewicza z bajki, który zajeżdżałby przed ich podwoje w pozłocistej karecie i poprosił mamę dobrodziejek o rękę, serce i t. d. jej pociechy... Ale, niestety, królewicz się nie zjawia. Kandydatów do stanu małżeńskiego wprawdzie nie brak, jak to wnoszę z działu inseratowego *Newej Reformy*, przynoszącego codziennie po kilka tego rodzaju ogłoszeń, ale, bezwstydn!., żądają nie tylko inteligencji, piękności, gospodarności, łagodnego charakteru i tym podobnych przymiotów, ale przedewszystkiem posagu i to dochodzącego nieraz do pięciu zer w ogonie... A ona, biedaczka, ma rzeczywiście tylko zero!... Mężczyźni, którzy zostali w domu, lub superarbitrowani (do służby wojskowej niezdolni, zdolni natomiast do małżeńskiego jarzma) powrócili z pola walki bez większych defektów cielesnych, każą sobie porządnie płacić za utratę wolności. Jedno tylko skromne ogłoszenie przypadkiem raz znalazłem. Brzmiało ono: „Mężczyzna przyzwoity, na stałym stanowisku, niskiego wzrostu, poszukuje żony z odpowiednim posagiem”, a tak mi się spodobało, iż, dalibóg, gdybym był panną, wdową lub rozwódką i posiadał posag, odpowiadający jego niskiemu wzrostowi, złożyłbym zaraz ofertę. Jeszcze bardziej idealnym jest inny „mężczyzna czterdziestopięcioletni, na stanowisku, niezwykłych zalet charakteru, duszy i serca (tak się przy najmniej sam chwali!...), który pragnie wymiany myśli z kobietą, choćby bez posagu, lecz bardzo dobrą, inteligentną, miłą, skromną, rozumiejącą życie, pragnącą cichego szczęścia”.

Kobiet, ogłaszających się, jak to skonstatować miałem sposobność, jest stanowczo mniej. Dlaczego, nie wiem. Być może, wychodzą z zasady: „Siedź w kącie, znajdą cię!” Ale teraz może bardzo łatwo zawieść to przysłowie, gdyż kobiet jest zatrzęsienie, a kawalerów i wdowców ogromny brak.

Nie wiem zresztą, po jakiego licha poruszam ten, bądź co bądź sympatyczny temat, skoro znajdujemy się w samym środku Wielkiego Postu, nie nadającego się zupełnie na miodowy miesiąc. Chyba, że ktoś weźmie sobie żonę starą i brzydką. W takim razie można o nim powiedzieć, iż czyni pokutę za swe grzechy, a właśnie wielkopostny czas na to jest przeznaczony.

Zachęcać do wstępowania w związki małżeńskie, choć mam trzy córki (wszystkie w kwiecie wieku!..) na wydaniu, nikogo nie myślę, nie mam też zamiaru nikomu odradzać, słowem, gdyby mnie w tej materii ktoś o zdanie zapytał, odpowiedziałbym: „Rób pan, jak się panu podoba!” Jeżeli zaś wspominałem o tem, to tylko ze względu na ową mnogość inseratów małżeńskich,

czego się dawniej nie widziało i nawiązując do kocięgo karnawału.

Słów kilkoro należy się także i Wielkiemu Postowi, trwającemu u nas wedle kalendarza kościelnego przez dni czterdzieści, z reguły zaś, o ile rok nie jest przestępnym, przez trzysta sześćdziesiąt pięć. Czas ten powinien być obrócony na przygotowania przedświąteczne. Dawniej w tym okresie odbywała się też rzeź niewiniątek, co to rykiem furtkę sobie otwierają i z powodu swego niechujstwa nazywane bywają świniami. Jakże dziś inaczej wygląda gospodarstwo domowe, niż po inne lata w tym samym czasokresie!.. Ze wszystkich kątów wyziera pustka, rozpanoszyła się ona nawet i w szpitalu. Zrozpaczone myszy suną się jak cienie, „nie wiedząc, co by pożreć!”... Chude biedaczki, istny szkielet, powleczone skórą! Zupełnie niepodobne do nich są ich koleżanki z poza ścian. Okrągłutkie jak wałeczki, ale też są na wychowaniu nie u chodzącego w dziurawych butach dziennikarza, ale u kamienicznika, napychającego swój żywot kłuskami z prawdziwej nuki... Na taki okaz to i kot się złakomi. Moją myszkę można mu do ogona przywiązać, nie ruszy jej nawet, co najwyżej spojrzy tylko na nią z politowaniem.

Ze względu na owe szpitalnicze braki, tegoroczne święta Wielkiejnocy przedstawiam sobie już dziś w bardzo czarych kolorach, oczekując lada dzień podwyższonej taryfy maksymalnej na świńskie delikatesy. Równocześnie z nami obchodzą i Żydzi swą Paschę, według przepowiedni domowych meteorologów można się więc spodziewać deszczu i niepogody, a może nawet i śniegu. Wypiek mac także się opóźił, ale jest już podobno na dobrej drodze, gdy tymczasem my dziś już wyrzec się musimy świątecznych placków, bab i mazurków. Moja Weronika jest z tego powodu pogrążona w najczarniejszej z czarnych rozpacz.

Martwi się tem bardziej, niż ja wówczas, gdy mi skradziono ostatnią parę jakichś takich trzewików. To mnie tylko pocieszyło, iż spotkałem się z ogólnym współczuciem, tak kolegów zawodowych, będących przeważnie w takim samym. Jak ja „dziurawem” położeniu, jak i najszerzszym sfer społeczeństwa. Jeden z moich przyjaciół politycznych wystosował do mnie pismo kondolencyjne, ubolewając, iż sam posiada tylko jedną parę kamaszków, gdyż chętnie podzieliłby się ze mną po bratersku. Ale cóż nam obydwu przyjdzie po jedynym egzemplarzu, skoro mamy po dwie nogi?... W każdym razie umiem ocenić jego dobre chęci i nigdy mu tego nie zapomnę, gdyż jestem taki, iż sercem płacę za serce!

W miarę, jak zbliżamy się do lata i jesieni, przed rozpoczęciem której miała się, według zapowiedzi, ukończyć wojna, widzimy, że horyzont polityczny zamiać się rozjaśniać, zaciemnia się coraz bardziej. Nie spodzianką dla wszystkich był wybuch rewolucji w Rosji i detronizacja cara, który bawił właśnie na froncie i wraz z królem rumuńskim przygotowywał się do ofensywy. Czekano tylko, aby generał Sarrail w Salonikach ukończył swój miodowy miesiąc, zachciało mu się bowiem na starość zakosztować słodczych małżeńskich pożywcia i ożenił się z pielęgniarką. A trudno mu w tak ważnej chwili przeszkadzać. Wobec tej, tamta ofensywa może poczekać.

Rewolucja w Rosji jest bezwątpiennie dziełem Anglii i Francji, które w kraju sprzymierzeńca rządziły się, jak u siebie w domu, ale się nieco przeliczyły, gdyż z pewnością nie leżało i nie leży w ich interesie, by ona miała przybrać rozmiary takie, jak obecnie widzimy, zwłaszcza, że, według niesprawdzonych dotąd doniesień, miał paść jej ofiarą i angielski ambasador przy rosyjskim dworze, Buchanan. Chęć dobrze im tak. Kto wiatr sieje, burzę zbiera! Chęć i szasachować cara, bojąc się, by przynadkiem nie zachciało mu się odrębnego pokoju, ludzi też przeciw niemu rosyjską partyę wojenną, wierzącą jeszcze w zwycięstwo, ale pokazało się, że nie zdawali sobie sprawy z ogólnego nastroju, jaki w Rosji panuje, zwłaszcza zaś od chwili, gdy rozeszła się po kraju hłobowa wieść, iż rząd zakazał wyrobu i sprzedaży wódki-pocieszycielki!.. Tego było Moskalom już za dużo, niezadowolnienie wybuchło z żywiołową siłą. Car Mikołaj przeszedł w czasowy stan dobrze zasłużonego spoczynku, który tak zalecał swojego czasu swemu stryjaszkowi, Mikołajowi Mikołajewiczowi. Nie mogąc znieść beczynnego życia ogląda się pono za jakimś zajęciem dla siebie i z boleścią powtarza, że musiał wypić piwo, jakiego mu nawarzyli Anglicy, serdeczni przyjaciele i sprzymierzeńcy.

Ciekawy jestem, jak się teraz na sytuację ogólnoswiatową zapatruje pan Wilson, dotąd jeszcze chory i niezdeterminowany, czy ma wypowiedzieć Niemcom otwartą wojnę, czy też czekać, aż się sytuacja wyjaśni. Chiny nie namyślały się tak długo. Uległy presji koalicji i zerwały z Niemcami stosunki dyplomatyczne, choć najmniej miały do tego powodu i kto wie, czy na tem nie wyjdą tak dobrze, jak Rosya na

radach i przyjaźni Anglii. Ale czegoż nie robi się dla interesu, skoro wojna ta pod jego tylko znakiem, a im obiecano moratorium w płaceniu odszkodowania za powstanie bokserów, jeżeli przejdą otwarcie na stronę wrogów mocarstw centralnych. Z kolei rzeczy powinna się teraz Anglia zabrać do nich „po przyjacielsku” i zaprowadzić takie same, jak w Rosji, porządki. Wówczas przyjdzie może opamiętanie, ale będzie już zapóźno.

Na temat rewolucji rosyjskiej snują nasi politycy większego i mniejszego kalibru najroznorodniejsze kombinacje, a spieszą się z niemi, by tymczasem nie zabrakło piwa bez którego dyskusje wszelakie mdleją i suche. Rząd zapowiedział, iż od czerwca zawieszona zostaje fabrykacja piwa, by zaoszczędzić na słodzie, rozpoczęcie się zaś dopiero po żniwach i po ustaleniu wyników zbioru. Tymczasem rolnicy już dziś pesymistycznie zaprawiają się na tą kwestję, czeka nas więc niezbyt miła perspektywa na przyszłość.

Chyba, że wojna zakończy się jeszcze przed jesienią i to w tym roku. Albo, jak z tego widać, na to się jakoś nie zanosi, choć, jak słyszymy, wyłazi ona już boki i koalicji. O Rosji była wyższa mowa, we Włoszech bieda, że aż trzeszczy, nawet bogata Anglia zaczyna przewracać pasa i przyznaje w duchu, że jeśli tak dalej pójdzie, to „nie da rady”.

Ogledaj czytałem znów artykuł, zdaje mi się w *Newej Reformie*, kreślący bardzo zajmująco stosunki, panujące we Francji, głównie zaś w Paryżu. Przedewszystkiem narzekają więc Paryżanie na brak chleba, a jeżeli go mają, to na jego jakość. Ilość, jaką każdy obywatel otrzymuje, nie wystarcza nadto na zaspokojenie głodu, a Francuzi, zwłaszcza teraz, cieszą się bardzo dobrym apetytem i nie potrzebują go podniecać sztu z rymy środkami, owszem, dają wiele, gdyby ktoś wynalazł na czas wojny jakieś antidotum o skutku zupełnie przeciwnym. U nas narzeka się głośno na piekarzy, tam nie można sobie na to pozwolić, państwo majstrowie są bowiem przeważnie na froncie, a interesy prowadzą ich nadobne małżonki, niewiasty bardzo energiczne, jak się pokazało. Z niemi zadziierać stanowczo się nie oplaci. Zawiały nawet Ligę pikarek, na czele której stoi prezydentka, pani Preteux.

Wszystko jednak ma swój koniec. Paniom piekarzom sprzykrzyła się samotność, zaczęły się więc domagać, aby ich mężowie powrócili do ich boku. Liga wysłała w tym celu deputację pod przewodnictwem swego prezydenta, do pańskich ministrów i do Izby deputowanych, a gdy jej zabieg nie odniósł pożądanego skutku, wydała hasło: „Zamknąć piekarnie!”...

I tak się stało. Paryż został bez chleba. Ministrowie spuszczili z tonu, panie piekarki okazały także pewną uступliwość, wobec czego minister wojny wydał polecenie, by część mistrów piekarskich powróciła z pola i etapów „do ciasta, pieców i połowic”...

W jednym fakcie natomiast znalazłem zupełną analogię z naszymi stosunkami. Od dwudziestego piątego lutego ma Paryż karty na cukier, ale od tego samego czasu cukru nie posiada i obchodzi się smakiem, czekając na lepsze czasy. Wiele Paryżan próbowało gryźć kartki cukrowe, pokazało się przecie, że zupełnie nie są słodkie.

Dowiedzieliśmy się także przy tej sposobności, jaki skład mają znane francuskie specjalności spirytualne. Różne wspaniałe koniaki i inne mikstury, to zwykła blaga i wyzyskiwanie łatwowierności konsumentów, którzy płacą wygórowane ceny (a u nas?... przyp. zecera). Fabrykanci francuscy przerazili się, gdyż rząd miał zamiar zakazać wyrobu i wywozu trunków, zdaje się przecie, że zmuszony przykładem „koleżanki” Rosji, da spokój i zostawi, jak było *in illo tempore*, gdy nie rozlegał się grzmot grubych Bert i trzask karabinów maszynowych.

Natomiast zaimponowało mi jedno francuskie zarządzenie i, gdyby u nas zawakowała podobna posada, niezwłocznie rozpocząłbym starania o jej uzyskanie. W Paryżu wolno podać jednemu gościowi w restauracji tylko dwie najwyższe potrawy. Celem doglądania, czy gospodarze stosują się do przepisów, ustanowiono komisarzy rządowych, którzy obowiązkiem jest zwiedzanie restauracji i spożywanie dwu potraw, a potem dopominanie się o trzecią. Bieda restauratorowi, jeśli zlihuje się nad rzekomo głodnym! Wnet dosięga go ręka karzącej sprawiedliwości. Codziennie musi pan komisarz zwiedzić dwie lub trzy restauracje, kosztą ponosi prawdopodobnie rząd, jeśliby bowiem miał je opędzać z własnej kieszeni, stanowczo by mu się to nie opłacało. I ja w tym wypadku nie kompetowałbym o tą posadę.